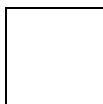


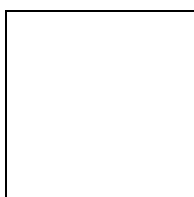
Jako uzasadnienie projektu: **Trochę historii Kataryniarza Warszawskiego**

Kataryniarz Jan z Warszawy:

**"Kiedyś mały chłopczyk wrzucił mi
pieniązek do kapelusza i powiedział, że
dałem mu sens życia"**



Autor: [Konrad Grobel](#) Opublikowano: 2023 sie 22 08:51:00 Zaktualizowano: 22 sie 2023 08:54



Kataryniarz Jan ze swoją katarynką / fot. Konrad Grobel

Ma własne konto na TikToku, a w katarynce wgranych setki szlagierów, które potrafią wywoływać emocje i wspomnienia oraz przenosić w czasie. Kataryniarz Jan, bo o nim mowa, to jedna z najbarwniejszych postaci warszawskiej starówki, którą postanowiliśmy przybliżyć czytelnikom Well.pl w ramach nowego cyklu WELL PEOPLE. Oto niezwykła historia Pana Jana i jego katarynki!

To był ciepły poranek. Słońce wysoko już świeciło nad miastem, w końcu było już prawie południe. Bruk na **Starym Mieście w Warszawie** połyskiwał w promieniach słońca. W nocy padał deszcz. Przechodząc przez **plac Zamkowy**, a następnie kierując się w stronę **ulicy Świętojańskiej**, mijalem pierwsze zorganizowane wycieczki i turystów, którzy obserwowali odbudowane budynki warszawskiej starówki. Gdzieś w oddali słychać było stukot kopyt koni o wspomniany bruk.

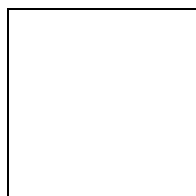
Na rynku Starego Miasta obsługa restauracji powoli wchodzi na wyższe obroty. Pocziwy „dachowiec” leży wyciągnięty w przy schodach prowadzących do jednego z lokali. W samym centrum znajduje się symbol miasta stołecznego **Warszawy – Syrenka**. Dzieci chętnie skaczą po wodzie, która wydobywa się spod niej. Jeszcze nie ma ulicznych artystów lub osób sprzedających chińskie zabawki. Jest spokojnie, choć zwiedzających ludzi nie brakuje.

Dlaczego tu jestem? Powód mojej wycieczki na warszawską starówkę stoi dumnie w słomkowym kapeluszu i rękawiczkach - to **Kataryniarz Jan lub, jak lubi o sobie mówić, po prostu Pan Jan.**

Siadam sobie na jednej z ławek, obok innych osób i słucham jego śpiewu i **dźwięków wydobywających się z katarynki.** Już się zauważyliśmy, kiwnęliśmy sobie głową na powitanie. Pan Jan uchylił kapelusz, oczywiście cały czas kręcąc korbą katarynki i śpiewając.

Co jakiś czas podchodzili do niego turyści. Jedni żeby zrobić sobie zdjęcie, drudzy żeby porozmawiać. Również okoliczni mieszkańcy machali do **Pana Jana**, który z dobrotliwym uśmiechem odmachiwał w miarę możliwości.

Zapraszał także dzieci do siebie, żeby mogły zapoznać z katarynką i zakręcić korbą. Pokazywał, jak funkcjonuje jego **magiczna skrzynka z dźwiękami.**



Kataryniarz Jan ze swoją katarynką / fot. Konrad Grobel

Kataryniarz Jan zakończył wcześniej niż się spodziewał. Raptem nad Warszawą pojawiły się deszczowe chmury, które zmusiły artystę do skrócenia występu. Zamknął katarynkę i zawiózł ją do nieopodal zaparkowanego samochodu. W przetransportowaniu instrumentu z wózka do auta pomagała mu żona, która wspiera męża podczas jego występów.

Po upewnieniu się, że wszystko jest na swoim miejscu udaliśmy się do pobliskiego lokalu, by spokojnie porozmawiać. Jak się okazuje, rozmowa nie tylko dotyczyła osoby **Pana Jana, ale także całej historii warszawskiego kataryniarstwa.**

Pan Jan, czyli jak zostałem Kataryniarzem

Konrad Grobel – Well.pl: Dzień dobry Panie Janie, ile ma Pan lat?

Kataryniarz Jan - Jan Jastrzębski: Dzień dobry, 35.

Jest Pan zatem dosyć młodą osobą, skąd pomysł, aby zostać kataryniarzem?

Kataryniarzem zostałem ze względu na te piękne dźwięki wydobywające się z tej czarodziejskiej skrzyni. Katarynka jest moją orkiestrą, a ja głównie śpiewam na rynku. Jestem takim nietypowym kataryniarzem, który wykorzystuje katarynkę jako akompaniamentu. Zawsze chciałem występować codziennie, a żeby móc tak występować to potrzebuję orkiestry, która ze mną zagra, no i właśnie katarynka zastępuje mi tę orkiestrę.

Może pozwoli Pan, żebym doprecyzował – na rynku Starego Miasta w Warszawie?

Tak jest.

Jak długa jest historia współczesnego kataryniarstwa w Warszawie?

To stosunkowo młoda tradycja, która wzięła się czasów, gdy po II wojnie światowej odbudowywano Rynek Starego Miasta. Chciano tchnąć ducha przedwojennej Warszawy w tę odbudowywaną starówkę i urząd wymyślił, że trzeba wypuścić kataryniarza, który będzie chodził po Starym Mieście i grał na kataryncie. Oczywiście nie mógł w jednym miejscu stać i grać, gdyż nie mógł denerwować robotników, którzy mieszkali w tych nowych, odbudowywanych kamienicach. Stąd też nakaz, że kataryniarz miał się przemieszczać, nie może stać dłużej w jednym miejscu. Z biegiem lat kataryniarze zaczęli grać głównie na rynku, tam najmniej przeszkadzali mieszkańcom, a także docierało tu najwięcej wycieczek.

Tak do lat 90. na rynku był zawsze "urzędowy kataryniarz", a w 1999 roku pojawił się też Pan Piotr Bot - kataryniarz warszawski, któremu towarzyszy papuga. Występuje już ponad 20 lat. Ja pojawiłem się w 2018 roku i tym sposobem jest teraz w Warszawie dwóch kataryniarzy związanych z rynkiem Starego Miasta.

Czy dostał Pan jakieś namaszczenie od starego kataryniarza?

Namaszczenia nie dostałem, ale Pan Piotr powiedział, żebym już prowadził księgę pamiątkową, ponieważ jego poprzednik Pan Leszek Zmaza prowadził księgę kataryniarzy i w tej księdze zapisywał wszystkie znamienite postacie, które spotkał na rynku. Te osoby wpisywały się do tej księgi i też robił sobie z nimi zdjęcia. Pan Piotr kontynuował tę „Księgę Wspomnień Kataryniarzy”, nawet był z tą księgą u papieża Jana Pawła II, który również wpisał się do niej.

Co chciał Pan robić, zanim został kataryniarzem?

Kiedyś chciałem śpiewać przedwojenne piosenki. Występowałem w trupie teatralnej „Warszawiaki”. Śpiewaliśmy na wielu scenach i podwórkach. Marzyłem o tym, żeby zostać aktorem oraz śpiewakiem jednocześnie. Niestety nie mając dojścia do dobrej orkiestry, zdecydowałem się na moją małą orkiestrę - katarynkę. Moją sceną jest rynek Stare Miasta, a słuchaczami turyści i ludzie, którzy przychodzą w to miejsce. To są również najbardziej wdzięczni słuchacze.

Ci ludzie natychmiast reagują. Widzę, że ludziom się to podoba, że niektórzy się wzruszają i proszą żebym dalej to robił. Wydaje mi się, że jestem na swoim miejscu.

Wcześniej był Pan aktorem?

To nie był mój zawód. Trupa funkcjonowała jako dodatkowe zajęcie, raczej hobby, a zawodowo na początku zajmowałem się organizacją festiwali chóralnych, pracowałem w agencji artystycznej, później miałem własną działalność – ratowałem

koty przed wypadnięciem z okna lub balkonu. Montowałem siatki, zabezpieczenia. Bardzo podobała mi się ta praca, była spokojna, z bardzo sympatycznymi klientami. Właściciele kotów to są bardzo mili ludzie.

Niestety, moje plecy nie udźwignęły tego ciężaru i po uszkodzeniu kręgosłupa musiałem zrezygnować z pracy fizycznej. Jednak w tym czasie okazało się, że moja katarzynka jest już na ukończeniu i rzecz, która była robiona tak przy okazji, aby gdzieś z nią wystąpić, stała się moim głównym zajęciem.

Któregoś dnia stanąłem na ulicy i po prostu zacząłem kręcić korbą. Zauważyłem, że ludzie podchodzą, interesują się i pomyślałem, że mogę robić to codziennie. W listopadzie 2018 roku zorganizowałem koncert premierowy dla katarzynki. Zaprezentowałem ją przed szerszą publicznością w Stacji Muzeum w Warszawie. Koncert cieszył się pozytywnym odbiorem i od tego momentu zacząłem pojawiać się na rynku Starego Miasta.

To był też okres świąt Bożego Narodzenia, początkowo przychodziłem wieczorami. Ładne lampki się świeciły, więc w tej aurze bożonarodzeniowej grałem kolędy, pieśni patriotyczne, dopisywałem kolejne piosenki.

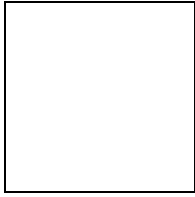
Kiedy sprzątnięto lodowisko na rynku i została sama syrenka i ławki, to ustawiłem sobie je tak, aby moja publiczność mogła na nich usiąść. Stworzyłem amfiteatr. Ustawiłem przed nimi katarzynkę i tak zacząłem grać codziennie. Przychodziłem już tylko rano, bo wtedy było spokojnie i cicho. Ludzie siadali na ławeczkach, słuchali mnie i nikt nie zakłócał tego spokoju.

Do dziś mówią o mnie na rynku, że to „ten, który sobie ławeczki ustawia”. Grałem dla ludzi, którzy potrafili siedzieć parę godzin i słuchać tego repertuaru przedwojennego.

Ile godzin trwa taki występ katarzyniarza?

Obecnie mój repertuar zajmuje około 5 godzin. Staram się nie powtarzać na rynku tych samych utworów. Chce, aby cały czas było coś innego. Oczywiście, jeśli ktoś ma życzenie usłyszeć „Umówiłem się z nią na 9” lub „Złoty pierścionek”, to wtedy pozwalam sobie zagrać. Jednakże raczej nie powtarzam piosenek. Z tego właśnie powodu mam ten tryb poranny. Zawsze można mnie spotkać pomiędzy 11 a 14. Głównie ze względu na to, że jest wtedy spokój na rynku, jeszcze nie ma wielu naganiaczy, nie ma wielu atrakcji, ludzie przychodzą na ten rynek zaznać takiego klimatu przedwojennej Warszawy. Poczucie ducha Starówki. Myślę, że tymi dźwiękami katarzynki wprowadzam ich w taki nastrój. Ludzie przenoszą się do świata baśni.

Wiadomo, że przed wojną było trudno, na Starówce mieszkała sama biedota i nie było tak kolorowo, jak to sobie wyobrażamy. Wiele osób mówi, że chciałoby żyć w tamtych czasach, ale te czasy były bardzo trudne do życia. Teraz żyjemy tym mitem przedwojennej Warszawy, ale ten mit jest na tyle piękny, że ludzie chcą go poczuć. Wydaje mi się, że to, co robię na rynku, to wprowadzam ich właśnie w ten świat marzeń i takiego spokoju.



Kataryniarz Jan ze swoją katarynką / fot. Konrad Grobel

Zatem można powiedzieć, że jest Pan propagatorem kultury przedwojennej? Stojem również Pan nawiązuje do tamtych czasów.

Tak. Zazwyczaj kataryniarze ubierają się w stylu, jaki był popularny 100 lat wcześniej. Kataryniarze w XIX wieku, którzy występowali w Warszawie, a było ich bardzo wielu, ubierali się zazwyczaj w stylu ludwikowskim. Pod koniec XIX wieku kataryniarze przestali być potrzebni, ponieważ wynaleziono płytę gramofonową, więc kataryniarze zaczęli mieć silną konkurencję. Właściwie I Wojna Światowa przyniosła kres kataryniarstwu. Po niej już tylko nieliczni kataryniarze pozostali, którzy nie mieli nic innego, tylko granie na katarynce. Pojawiali się czasem na ulicach miasta, ale w gruncie rzeczy tacy kataryniarze byli już tylko zapraszani na jakieś bale wspomnieniowe, aby poczuć się jak żyli ludzie przed I Wojną Światową. Wtedy ci kataryniarze z dwudziestolecia międzywojennego ubierali się tak, jak właśnie ludzie w XIX wieku.

Ja, jako, że jestem kataryniarzem z XXI wieku, to mam styl, który był popularny 100 lat wcześniej, czyli w latach 20. czy 30. Stąd u mnie szerokie spodnie, jakie były wtedy popularne, koszule z długim kołnierzykiem czy noszę na głowie kanotier, czyli słomiany kapelusz, bardzo popularny w tamtym czasie. W latach 30. często był kojarzony z występami artystów. Moja katarynka również jest stylizowana na lata 30. i zdobiona w stylu art deco. Moja żona zaprojektowała syrenkę, która też mogłaby być zaprojektowana w latach 30. przez artystów z tamtego okresu. Jestem człowiekiem z przyszłości, który stara się przenieść turystów i osoby odwiedzające rynek Starego Miasta właśnie do przeszłości. Funduje im podróż w czasie.

Skąd się wzięła sama katarynka?

Jak występowałem grupie teatralnej „Warszawiaki”, to był zespół, gitarzysta, akordeonista, basista, banjo było, ogólnie różne instrumenty. I teraz, jeżeli nie potrafi się grać na żadnym instrumencie, a chce się sobie akompaniować, to wtedy tacy muzycy stawiają sobie głośnik, włączają podkład i ten podkład gra. Jednak grać z takim podkładem z głośnika, to tak nie przystoi. Wypadałoby mieć jakiś instrument. Jednak to nie jest takie proste śpiewać i grać.

Stąd też, gdy chodziłem po Starówce i widziałem kataryniarza Pana Piotra, to pomyślałem, że ten mechaniczny instrument jest bardzo mocno związany z Warszawą. To było coś, co odpowiadałoby moim potrzebom.

Pomyślałem, że trzeba zdobyć katarynkę. Znalazłem za granicą producentów, ale jak zobaczyłem ceny, to mnie przeraziło. Taka katarynka kosztuje kilkadziesiąt tysięcy złotych. Napisałem do producenta z Wielkiej Brytanii z pytaniem, czy nie dałoby się

zrobić jej taniej. Sprzedał mi sterownik i zawory na elektromagnesach. Pomyślałem, że miechy samemu zbuduję, piszczałki może jakoś też, więc złożyłem zamówienie. Znalazłem też organmistrza, który buduje organy i piszczałki. Napisałem do niego, że potrzebuję trzy oktawy piszczałek fletowych. Pan Sutowicz zbudował je dla mnie stosunkowo tanio.

Przyjaciół właśnie otwierał zakład stolarski, więc zbudował mi katarynkę - solidną, jak przedwojenny kredens, taką ciężką, żeby miała moc. Katarynka wyglądała pięknie. Z taką właśnie, ważącą 50 kg, w 2018 roku zacząłem grać. Jednak w 2020 roku zbudowałem nową, lżejszą, bo mój kręgosłup nie dawał rady. Choć lżejsza o połowę i ze sklejk, ta moja katarynka w dalszym ciągu ma te same piszczałki od Pana Sutowicza i nadal pięknie gra.

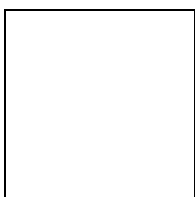
Jak na tę pana profesję reaguje rodzina i przyjaciele?

Wspierali mnie od samego początku. W gruncie rzeczy, dzięki kataryniarstwu ominęło mnie wykluczenie społeczne. Nie musiałem iść po żaden zasiłek do urzędu, nie musiałem zostawać inwalidą, tylko znalazłem sobie pracę dostosowaną do moich możliwości. Na rynku szybko mnie zaakceptowali. Moja katarynka dosyć cicho gra, więc nie denerwuję mieszkańców starówki. Również osoby, które tam pracują, lubią dźwięki mojej katarynki, bo wciąż są nowe melodie.

A jakie piosenki najczęściej Pan gra?

Najczęściej to „Warszawa da się lubić”, „Złoty pierścionek kataryniarza jedyny” i „Umówiłem się z nią na 9” - to są właśnie te szlagiery, o które zazwyczaj ktoś prosi. Katarynka to również moja praca, nie trudno zauważyć, że najlepiej można zarobić na utworach popularnych, które ludzie znają. Jednak od samego początku miałem taką misję, by uczyć przedwojennych, mniej znanych piosenek. Do dziś staram się przemycać w repertuarze zapomnianą muzykę i edukować, bo na przykład taki "Bal na Gnojnej" nie jest piosenką Grzesiuka, tylko Fanny Gordon, a „Nie masz cwaniaka nad Warszawiaka” to jest piosenka słynnego, warszawskiego śpiewaka Alberta Harrisa, który napisał również „Piosenkę o mojej Warszawie”. Tę drugą podarował Foggowi, który do dziś jest z niej znany.

Z taką właśnie misją przychodziłem na rynek, ale zauważyłem, że ta misja nie przekłada się na środki finansowe, które znajduje w kapeluszu, ponieważ ludzie wrzucają mi pieniądze wtedy, kiedy usłyszą coś, co znają i coś co lubią, a także coś, co ich porusza. Jak zatem proszą o coś znanego, to gram również coś znanego.



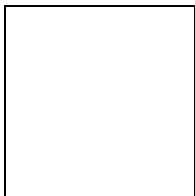
Kataryniarz Jan z Warszawy / Konrad Grobel

Kataryniarz Jan posiada swojego TikToka, prawda?

Zgadza się. Żona mnie wypromowała. Zaczęło się od tego, że jakiś turysta wrzucił kawałek mojej piosenki na swoje konto. Ludzie oglądali, pytali się, co to za kataryniarz, zatem i my zaczęliśmy nagrywać.

Moje TikToki cieszą się dużą popularnością wśród dzieci. Kiedyś, gdy przychodziła wycieczka na Rynek Starego Miasta, to próbowałem opowiadać im, co to jest katarynka, o historii i starych piosenkach, ale nie byli zbyt zainteresowani.

Natomiast teraz przewodnicy sami mówią mi, że dzieciaki wysiadają z autokaru i od razu pytają o Kataryniarza Jana. Cieszę się, że dotarłem do najmłodszych odbiorców, do których trudno jest dotrzeć z takim, też nielekkim tematem, bo to jest historia, to jest instrument, który nie jest poważany przez muzyków, bo katarynka często jest traktowana przez muzyków tylko jako odtwarzacz.



Kataryniarz Jan ze swoją katarynką / fot. Konrad Grobel

Współczesna katarynka wcale nie musi być tak nieznośna, jak z noweli Bolesława Prusa, że nie muszą to być dźwięki prześladowające mieszkańców. Mam taki piękny cytat z Prusa, który mówi, że katarynka to jest wymyślanie uczuciom estetycznym:

- Zjawia się na podwórzu najstraszliwsza z europejskich katarynek, instrument, w którym zaszły patologiczne zmiany odpowiadające obłąkaniu. (...) Prawo nie pozwala męczyć i o choroby przyprawiać, kataryniarzy zaś i męczą, i do grobu wpędzają nas bezkarnie. Prawo zabrania wymyślać, gra zaś katarynkowa jest publicznym wymyślaniem uczuciom estetycznym, obelgą wyrządzoną zdrowemu rozsądkowi, potwarzą rzuconą na muzykę i sztuki mechaniczne. Siarczysty deszcz sodomski i potop powszechny miały tę zaletę, że przerzedziły rodzaj ludzki, a stanowczo wytepiły wszystkich kataryniarzy, jakich wypielegnowała ówczesna cywilizacja.

Jak widać, do kataryniarzy nie pałano wielką miłością już w XIX wieku. Kiedy to do Warszawy przybyli pierwsi kataryniarze, zazwyczaj byli to Włosi. Przyjechali z pięknymi katarynkami, pięknie grającymi. Śpiewali do tego włoskie arie. Wszystkim się to podobało, a lokalna społeczność zauważyła, że skoro wystarczy tylko kręcić korbą i można coś na tym zarobić, to każdy może być kataryniarzem, wystarczy zorganizować sobie katarynkę. I organizowali sobie te katarynki. Albo próbowali je sobie sami zbudować albo kupowali sobie jakieś zużyte, zniszczone z zachodu, z jakiś innych miast. I tak właśnie pod koniec XIX wieku, kataryniarzy w Warszawie było więcej niż ulic. Nie wszyscy grali ładnie, bo skoro to nie wymaga jakichkolwiek umiejętności, to taka osoba nawet nie potrafiła nastroić sobie takiej katarynki i grano na takiej zniszczonej, fałszującej. Kompletnie nic sobie z tego nie robiąc.

Wróćmy jeszcze do TikToka, bo mówi Pan, że do dzieci Pan dotarł, ale nie tylko z historią katarynki. Porusza Pan temat mody, potraw warszawskich, są też zamieszczane występy.

Ja po prostu szanuję dzieci i chcę im dawać to, co mam najlepszego. Często widzę, jak się zachowują się opiekunowie, którzy przyprowadzają dzieci na rynek. Traktują je jakby były takimi pieskami tresowanymi. Ja staram się traktować ich życzliwie, jako obywateli, jako po prostu mniejszych ludzi, którzy jeszcze nie wszystko wiedzą, zatem trzeba im ten świat pokazać. Z tego powodu moje materiały również są kierowane do nich i przez to wydaje mi się, że uczą ich życia, kultury i pokazuje im jaka ta kultura była 100 lat temu. Jak się ludzie wtedy zachowywali, jak się ubierali i z czego to wynikało.

Uczestniczy Pan w międzynarodowych zjazdach kataryniarzy?

Tak, jak się okazuje kataryniarze są bardzo popularni na całym świecie. Jest to zazwyczaj hobby dla emerytów. W Niemczech kataryniarze zazwyczaj spotykają się w garażach, piwnicach, grają sobie na tych mechanicznych instrumentach dla własnej przyjemności. Organizują również takie spotkania, żeby pokazać się na mieście, to się nazywa Festiwal Katarynek. Katarynka też w każdym kraju ma inną nazwę.

Przykładowo u nas nazwa „katarynka” prawdopodobnie pochodzi od nazwy francuskiej melodii "Charman Catherine". U nas to katarynka, a na wschodzie mówią szarmanka.

Na Słowacji natomiast nazywa się to flaszinet, w Niemczech to Żebracza Skrzynka albo drehorgel, we Francji mówi się na katarynkę, że są to Barbarzyńskie Organy, czyli Orgue de Barbarie, z kolei w Wielkiej Brytanii są to Organy Beczkowe od systemu sterowania melodiami.

Na początku utwór zapisywany był na wałku, podobnie jak w pozytywce, przez co kombinowano jak wydłużyć tę melodię. Wiadomo przecież, że jak wałek się obróci do piosenka leci od początku, stąd też jest po polsku takie powiedzenie: „Gadać jak katarynka”, czyli powtarzać.

Wracając jednak do tych Festiwali Kataryniarzy, byłem na festiwalu na Słowacji i w Rumunii. W Polsce zachowało się bardzo mało katarynek, niestety większość nie przetrwała wojny. U nas w kraju jest może około 20 kataryniarzy, rozsianych po całej Polsce. W Czechach i na Słowacji są natomiast katarynki bardzo popularne w muzeach techniki. Tam zazwyczaj każda taka instytucja ma swoją grupę kataryniarzy, którzy tam grają i spotykają się przy muzeach. Katarynki są również popularne wśród lalkarzy jako taka dodatkowa atrakcja, na której może szybko odtworzyć jakąś melodię. Największe festiwale organizowane są w Niemczech, ponieważ jest tam najwięcej kataryniarzy, ale jeszcze na takim festiwalu nie byłem.

Ma Pan możliwość spotkania wielu różnych ludzi. Jaki był najciekawszy odbiór Pana twórczości?

Kiedyś podeszło do mnie młode małżeństwo i pani prosiła, żebym zagrał coś z repertuaru Mieczysława Fogga. Zazwyczaj, jak ktoś zna już repertuar, to proponuję takie mniej znane utwory i zaproponowałem „Nietoperze”. Zaśpiewałem, a pani się popłakała. Mąż docenił mój występ i powiedział, że nie spodziewał się, że muzyka może doprowadzić jego żonę do łez. Są to dla mnie takie satysfakcjonujące sytuacje, w których potrafię poruszyć emocje u słuchaczy.

Zdarzają się również śmieszne sytuacje, gdy starszy pan podszedł do mnie i powiedział, że jestem filharmonią naszej ojczyzny. Innym razem, mały chłopczyk, który jeździł na rowerku wokół mnie, wrzucił mi pieniądze do kapelusza i powiedział, że musiał wrzucić, ponieważ dałem mu sens życia. Inna śmieszna historia dotyczy zagranicznego turysty, który podszedł do mnie z tłumaczem google i powiedział coś w swoim języku, a aplikacja przetłumaczyła, że „jest Pan ozdobą tego starożytnego miasta”.

Przychodzi też czasem pan Dariusz z żoną - mieszkańcy starówki jeszcze sprzed wojny. Pan ma prawie 100 lat, dobrze się trzyma, może mu służyć te spacerunki z żoną i te siedzenia na ryneczku. Któregoś razu poprosił mnie, żebym zagrał mu „Genialnego Wacusia”. Nie miałem wtedy jeszcze tego utworu w katarynce. Chciałem go dodać, ale pan Dariusz musiał na niego chwilę poczekać. Ponad miesiąc od czasu do czasu do mnie przychodził i pytał czy już mam tego „Genialnego Wacusia”, a ja mu na to mówiłem, że jeszcze nie i musi poczekać, a on mi odpowiadał: „Wie Pan, ja już mam tyle lat, że ja nie mogę tak długo czekać”, na co ja mu mówiłem, że „Proszę jeszcze się wstrzymać, jest na co czekać”. W końcu zaśpiewałem mu „Genialnego Wacusia”.

Bardzo lubię, jak odwiedzają mnie starsze osoby, które pamiętają tamte czasy i pamiętają tamte piosenki.

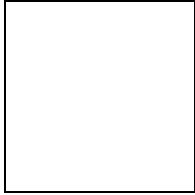
Widziałem na ostatniej świątecznej iluminacji kataryniarza, czy miał Pan coś z tym wspólnego?

Tak, katarynka coraz bardziej wtapia się w ten symbol Warszawy. Z tego powodu też przy budowie nowych dekoracji świątecznych skontaktowano się ze mną w sprawie tego, jak powinna wyglądać katarynka. Doradzałem firmie, która budowała iluminacje świąteczne i nawet nagrałem parę melodii, które miały być odtwarzane. Dlatego kataryniarz występuje również jako symbol Warszawy i mam nadzieję, że w mieście będzie i syrenka, i kataryniarz, i przedwojenne szlagiery.

A jak to jest z papugą albo małpą kataryniarza, które są ważnym elementem występującego?

Kojarzą się bardzo mocno, ponieważ w wielu piosenkach występują. Kataryniarz musi mieć papugę. Czasem starsze osoby podchodzą i pytają, gdzie jest papuga? Wcześniej wspomniany Pan Piotr ma papugę, bardzo piękną Arę. Ja nie jestem zwolennikiem wykorzystywania zwierząt do pracy. Stąd też mam mały pluszowy

odpowiednik – Edmunda, nazywa się tak na cześć Edmunda Bełczykowskiego, XIX wiecznego producenta katarynek z Warszawy. Zwierzęta towarzyszyły kataryniarzom, żeby jakoś urozmaicić ich występy. Jak już wcześniej wspomniałem nie wszyscy kataryniarze grali ładnie, stąd też, żeby jakoś przyjemniej było przy tej katarynce, to brano zwierzątko. Najpopularniejsze w XIX wieku były świnki morskie i kanarki. Taka świnka morska była trzymana w klatce na katarynce, a w Warszawie był również taki jeden kataryniarz, który miał dwa tresowane jeże, z którymi występował. Oczywiście bogatsi kataryniarze mogli pozwolić sobie na egzotykę jak papużki, a co sprytniejszy kataryniarz przefarbował gołębia i udawał, że to papuga.



Kataryniarz Jan ze swoją katarynką / fot. Konrad Grobel

A jakie ma Pan plany w kwestii katarynki? Wymieni ją Pan na nowszy model?

Plany są bardzo duże, ponieważ już zamówiłem piszczałki u Pana organmistrza. Cztery oktawy piszczałek, brakowało mi trochę rozpiętości tonalnej w tych utworach, które wykonuję. I teraz będzie czterooktanowa katarynka. Zamontuję również wałek, jak w pierwszych katarynkach, żeby móc demonstrować wycieczkom i turystom jak działała katarynka w XIX wieku. Budowa jest jednak trochę skomplikowana i kosztowna. Koszt piszczałek to niecałe 10 tysięcy złotych i te wszystkie mechanizmy, które w niej działają to jest kosztowna sprawa. Utrzymuję się tylko z darowizn, które otrzymuję od życzliwych osób i muszę zbierać na to pieniądze. W planach mam jeszcze wydanie płyty, angaż muzyków, którzy będą mi akompaniować w kilku piosenkach, zagramy też z katarynką. Będzie można poczuć się jak w przedwojennej Warszawie na ryneczku.

Jak Pan sądzi, jak długo będzie Pan występował z katarynką? Czy planuje Pan znaleźć swojego następcę?

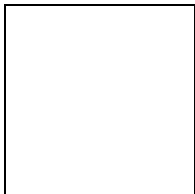
Nie planuję zmiany zawodu, granie na katarynce bardzo mi się podoba i planuję być do końca kataryniarzem. Co do następcy to sądzę, że wyjdzie to naturalnie, że z biegiem lat pojawi się młody kataryniarz, który zaoferuje jeszcze wyższy poziom kataryniarstwa na rynku i że to będzie ewoluowało i że zawsze będzie jakiś kataryniarz na rynku w Warszawie.

Każda rozmowa ubogaca, ta cofnęła w czasie

Gdy się pożegnaliśmy i wyszliśmy z kawiarni każdy poszedł w swoją stronę. Chociaż spadł deszcz, to ludzi było nadal bardzo dużo. Odwróciłem się za tym barwnym człowiekiem, który za sprawą swojego stroju wyglądał jakby przeniósł się w czasie. A może to inni przenieśli się w czasie? W końcu otoczenie bardziej pasowało do **Kataryniarza Jana** niż do turystów ze swoimi smartfonami.

Obojętnie jak jest, to jedno jest pewne. Kataryniarz Jan powoli staje się symbolem **Warszawy**. Samo obcowanie z nim cofa nas w czasie i może nas oderwać od problemów dnia codziennego. Warto zatem wybrać się na rynek **Starego Miasta**, usiąść i zatopić się w przeszłości.

Może w tekstach piosenek, które wykonuje **Pan Jan** znajdziemy spokój? Z całą pewnością będzie to niezapomniana podróż, której życzę każdemu.



Trochę historii Kataryniarza Warszawskiego

*Przed wojną w Warszawie, tak, jak w innych miastach Europy, było bardzo wielu kataryniarzy. W stolicy był nawet producent katarynek i sklep z katarynkami. Po wojnie tradycja kataryniarzy w Polsce zupełnie zaginęła. Dopiero z inicjatywy Dzielnicowej Rady Narodowej Śródmieście i Muzeum Rzemiosł Artystycznych i Precyzyjnych w Warszawie na początku lat siedemdziesiątych na Starym Mieście pojawił się kataryniarz. Został nim pan **Jan Gorczewski**. Mam przyjemność być już chyba czwartym z kolei powojennym kataryniarzem. Przez ostatnie kilkanaście lat kataryniarzem był Leszek Zmaza: wygrał konkurs na postać kataryniarza ogłoszony przez Muzeum Rzemiosł Artystycznych i zaczynał na wypożyczanej z Muzeum Zegarów autentycznej katarynce. Postać kreowana przez niego cieszyła się ogromnym powodzeniem. Nie wyjeżdżając z Warszawy miał okazję poznać wielkich tego świata. W Księdze Pamiątkowej zachowały się zdjęcia między innymi z Lechem*

Wałęsą czy z Raisą i Michaiłem Gorbaczowem. Był ozdobą wielu stron tytułowych w poczytnych czasopismach, bardzo często prezentowany w środkach masowego przekazu, na pocztówkach czy plakatach. Udzielał wielu wywiadów, dzięki którym stał się także postacią znaną za granicami i zawsze kojarzoną z Warszawą. Ze względów zdrowotnych w latach dziewięćdziesiątych zaprzestał działalności i przez prawie siedem lat nie było w Warszawie, i całej Polsce, kataryniarza. W 1999 roku, przez kilka miesięcy bezskutecznie poszukiwałem pracy, i po rozmowach z cioteczynym bratem Leszkiem Zmazą postanowiłem spróbować trochę pograć. Ponowne pojawienie się po tak długiej przerwie postaci Warszawskiego Kataryniarza spotkało się z bardzo pozytywnym odzewem ze strony mieszkańców Warszawy, turystów, władz miejskich i mediów. W ten sposób tradycja kataryniarza stała się także tradycją rodzinną. Mam nadzieję, że będzie ona trwać dalej i rozwijać się. Kataryniarz Warszawski.